

WOJCIECH JÓZEF BURSZTA

GLOBALNA EKUMENA POPNACJONALIZMU*

Mistrzostwa Europy w piłce nożnej oraz olimpiada w Londynie, które latem 2012 roku zawładnęły wyobraźnią mieszkańców nie tylko Polski i Europy, ale były śledzone przez niemal cały glob, to ciągle świetny pretekst, aby przyjrzeć się nam samym i próbować odpowiedzieć na pytanie: dlaczego sport, a zwłaszcza piłka nożna i inne gry zespołowe, są tak ważne dla współczesnego człowieka? Mimo wielu prób wyjaśnień, nadal nie ma jasnej odpowiedzi na pytanie może nawet jeszcze bardziej podstawowe: dlaczego „my”, żyjący w rozwiniętych państwach demokratycznych, poddanych procesom globalizacji ekonomicznej i kulturowej, nie zapominamy – wbrew pesymistom – „naszej” narodowej tożsamości? Dlaczego w sferze sportu nie mamy wątpliwości, że wszyscy ludzie, w ostateczności, są podzieleni na narody, a narody zwykły rywalizować od zawsze, na wojnie i w sposób pokojowy – na sportowych arenach? Spróbujmy podpowiedzieć kilka tropów, które zbliżają nas do odpowiedzi na ten pozorny paradoks, że im bardziej jesteśmy zglobalizowani i kosmopolityczni, tym chętniej określamy się w terminach plemiennych przynależności.

W inspirującej acz niedocenianej książce *Who We Are* Robert H. Wiebe, unikając tak częstego demonizowania nacjonalizmu jako ostatniej „żywej” ideologii współczesnego świata, nawołuje do tego, aby ponownie przyjrzeć się jego historii i spróbować odpowiedzieć na pytanie: jak to się dzieje, że mając tak „złą prasę”

.....

.....

Prof. dr hab. *Wojciech J. BURSZTA*
jest kierownikiem
Zakładu Badań Narodowościowych
w Instytucie Slawistyki PAN
i profesorem w Szkole Wyższej
Psychologii Społecznej w Warszawie.
wojciech.burszta@swps.edu.pl

* Artykuł stanowi skróconą i zmodyfikowaną wersję rozdziału mojej książki *Wojny kulturowe z popnacjonalizmem w tle*, Iskry: Warszawa 2013.

wśród czołowych intelektualistów nacjonalizm jest głównym wyznacznikiem zbiorowej tożsamości? Dlaczego w naszym potocznym myśleniu wszelkie identyfikacje narodowe uważamy za naturalne i dlaczego „uruchamiamy” je jako znaki tożsamościowe w tak różnych sferach życia? I dzieje się tak niezależnie od tego, czy chodzi o państwa uważające się za narodowe czy w grę wchodzi kraje imigranckie, takie jak USA, Kanada i Australia. Odpowiedź brzmi: Nacjonalizm dostarcza ludziom jasnego i zrozumiałego sposobu myślenia o ich miejscu w świecie, pozwala wyznawać i propagować wartości uznawane za wspólne, które krzewią się zawsze na uświęconym terytorium, jakim jest ziemia ojców i matek¹. Czuć się związanym z terytorium i poczuwać do obligacji wobec rodaków – to być patriotą, który zawsze w sytuacjach konfrontacji „nas i „innych” przekształca się w etnonacjonalistę. Greckie *patriótes* oznacza ‘rodaka’, a ów odsyła do *pátrios*, „pochodzących od tego samego ojca”. Tym, co spaja rodaków, jest więc *patér*, biologiczny i duchowy gwarant ciągłości rodowej. W naszym dzisiejszym rozumieniu patriotyzmu „ojcem” jest ojczyzna (nie zawsze identyfikowana z państwem), na terenie której żyją ci wszyscy, których określa się mianem rodaków. Typowe dla większości starożytnej proweniencji pojęć przesunięcie semantyczne i metaforyzacja pierwotnego znaczenia, jakiego dokonały nowoczesne języki narodowe, w wypadku patriotyzmu jest szczególnie ciekawe i instruktywne.

Pisałem wielokrotnie w swoich tekstach, że, jak zwraca uwagę wybitny historyk i literaturoznawca Hayden White², zgodnie z etymologią naszego słowa, patriotyzm jest postawą podporządkowania się „synów” uświęconemu „narodowi-ojcu”, jest więc swoistym związkiem wyobrażeniowym. Miłość do narodowej ojczyzny to żarliwe oddanie się chimerze ojcostwa, w obrębie której „naród” jest pojmowany jako rodzina poszerzona, ukształtowana w typowo patriarchalny sposób. Obiektem uczuć patriotycznych mogą stać się różne składniki tzw. obiektywnej definicji narodu – terytorium, religia, język, historyczni bohaterowie – ale zawsze istotę i granice patriotyzmu (postawy patriotycznej) wyznacza moralna sytuacja synowskiego podporządkowania się ojcu.

Uczucia patriotyczne, przekonania które motywują patriotę do uświęconych działań w służbie wiary, to uczucia rodzinne, miłość i oddanie, jakie syn danej rodziny winien odczuwać dla swojego ojca, pana, antenata albo męskich przodków. Pleć patrioty jest czymś niematerialnym. Patriotą może być zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Jedyne, co jest wymagane, to podporządkowanie się przez jednostkę roli wyznaczonej jej przez męskich członków rodzin i odnośnienie się z respektem do narodu, podobnie jak syn wypełnia święty obowiązek wobec własnego ojca³.

Ten fakt wyjaśnia, zdaniem White’a, dlaczego patriotyzm jest szczególnie intensywny tam, gdzie rodziny pozostają patriarchalne w swej strukturze, a przeżywa kryzys lub wręcz jest podawany w wątpliwość w indywidualistycznie nastawionych demokracjach liberalnych.

Zgadając się generalnie z White’em, dodać jednak muszę, że patriotyzm i nacjonalizm, niejako „trzymaane w ryzach” w ramach demokracji liberalnych (czym się one szczyca), uwalniane są bez skrupowania w jednej tylko dziedzinie kultury, a tą jest sport. Rywalizacja sportowa to ważne potwierdzenie, że każdy niemal element codzienności staje się

• • • • •

¹ R.H. Wiebe, *Who We Are. A History of Popular Nationalism*, Princeton University Press: Princeton and Oxford 2002.

² Odwołuję się w tym miejscu do jego fascynującego eseju *The Problem With Modern Patriotism*, który ukazał się w 13 numerze pisma „2B. A Journal of Ideas”, 1998, s. 119-130.

³ H. White, *Poetyka pisarstwa historycznego*, przeł. E. Domańska, A. Marciniak, M. Wilczyński, Universitas: Kraków 2000, s. 121.

znakiem zwartej kultury narodowej: „nasi” są naszymi dlatego, że potwierdzają przekonanie, że „my wszyscy” tworzymy istniejącą w czasie, trwałą całość. Powiada się, że dla utrwalania tożsamości narodowej wielkie znaczenie ma tzw. „temporalność pedagogiczna”, a to nic innego, jak strategie narracyjne pisania, tworzenia i nauczania historii, mitów i innych zbiorowych opowieści, dzięki którym naród odtwarza się nieustannie w swej warstwie ideologicznej. Sport wpisuje się w te narracje, sam będąc przede wszystkim działaniem i praktyką kulturową, która obrasta następnie w opowieści skupiające się w istocie na przedstawieniu sportu jako praktyki narodowej. Bycie dumnym z „naszych” sportowców to kwintesencja etnonacjonalistycznego sentymentu. Triumfy i porażki atletów i atletek są opowieściami o narodowej potędze albo hańbie. Jak powiadał Anatol France – nacjonalizm jest wspólnotą pamięci i nadziei, skąd bierze się jego siła, zawsze bowiem można w jego ramach odwoływać się albo do przeszłości (najczęściej zmitologizowanej), albo spoglądać ku przyszłości, próbując wykuwać jej zręby na co dzień dzisiaj, już, teraz. Możemy tak powiedzieć – *per analogiam* – także o sporcie. Panteon sportowych gwiazd narodu jest pojemny i oparty jedynie na jednym kryterium – sukcesie w „naszym” imieniu, zarówno drużynowym (co się ceni najbardziej), jak i indywidualnym.

Dzięki uświadamianiu sobie i perswadowaniu o przynależności sportu do kultury narodu czujemy się wyróżnieni, usytuowani zawsze w centrum społecznego świata, uruchamiamy tym samym tkwiącą w nas głęboko nutkę ksenofobiczną, kryjącą się zazwyczaj za pojęciem dumy narodowej. Nic nie obrazuje tego lepiej, jak moment, gdy nasi zdobywają medal albo dokopują przeciwnikowi (zwłaszcza takiemu, z którym mamy historyczne zaszłości...). W tym sensie znane stwierdzenie Ernesta Renana, że trwanie każdego narodu to codzienny plebiscyt, można sparafrazować w taki sposób, że sport, a zwłaszcza tzw. hegemoniczne jego dyscypliny w rodzaju piłki nożnej, koszykówki, hokeja czy futbolu amerykańskiego, to ta sfera, dzięki której codziennie, banalnie i nieświadomie, odtwarza się tożsamość narodowa. Sport jest domeną reprodukcji narodu w ramach codziennego i masowego użytku. To jest nacjonalizm dla wszystkich, nie trzeba znać historii, zawilej symboliki zawartej w kulturze wysokiej, nie trzeba znać ważnych postaci z polskiej historii, aby partycypować w prostym ciągu metonimicznych znaków, z których każdy jest wykorzystaniem jakiegoś zrozumiałego i łatwo dostrzegalnego aspektu całości zwanej „Polska”. Od barw narodowych poczynając, na emblematach husarii skończywszy.

Zapytajmy teraz: jak się ma to, co napisałem wyżej, do problemu globalizacji i komercjalizacji sportu? Czy w obliczu niewątpliwej kosmopolityzacji rywalizacji sportowej większej wagi nie przywiązujemy jednak do tego, co w nim uniwersalne a nie narodowe? Przecież powiada się skądinąd, iż żyjemy dzisiaj na „planecie Sport”⁴. Odpowiedź wymaga szerszego komentarza⁵.

Do dzisiaj bezkonkurencyjną klasyfikacją rodzajów gier (także jako typów rywalizacji sportowej) jest propozycja sformułowana przez Rogera Caillois. *Raison d’être* tego klasycznego wyodrębniania sfery zabawowo-sportowej z całokształtu praktyk kulturowych jest założenie, że w grze następuje przemieszczenie własności, nie dochodzi jednak do wytworzenia jakichkolwiek dóbr: „Istotną cechą gry bowiem jest to, że nie prowadzi ona

• • • • •

⁴ Zob. K. Woodward, *Planet Sport*, Routledge: London and New York 2012.

⁵ W kilku następnych akapitach odwołuję się do fragmentów ustaleń z dwóch tekstów: W.J. Burszta, M. Czubaj, *Miasto – stadion – kultura: globalny przemysł sportowy i lokalne aspiracje*, w: W.J. Burszta, M. Czubaj, J. Drozda, M. Duchowski, A. Litorowicz, P. Majewski, J. Myszkowski, E.A. Sekuła, K. Thel, *Stadion – Miasto – Kultura. Euro 2012 i przemiany kultury polskiej*, Narodowe Centrum Kultury: Warszawa 2012, s. 7-21 oraz W.J. Burszta, M. Czubaj, *Dobrze ułożona stopa, irlandzki śpiew. Druga globalizacja futbolu* (w druku).

do powstania żadnego bogactwa, żadnego dzieła. Tym właśnie różni się od pracy czy sztuki”⁶. Co znamienne, Caillois zastrzega się jednak nieco dalej:

Co się tyczy zawodowców: bokserów, cyklistów, dżokejów lub aktorów, zdobywających środki utrzymania na ringu, torze wyścigowym lub deskach scenicznych i myślących o zdobyciu nagrody lub otrzymaniu różnych form wynagrodzenia – jest jasne, że pod tym względem nie występują oni jako gracze, lecz po prostu jako ludzie pracy. Jeśli zdarza im się grać, to w jakiejś innej grze⁷.

Z kolei pionierzy socjologicznych badań nad rolą sportu w społeczeństwach nowoczesnych, Eric Dunning i Norbert Elias, podzieliли tę sferę na trzy dziedziny – gry, gry sportowe i sport indywidualny. W wypadku tych pierwszych rywalizacja między graczami nie ma natury fizycznej, jak w szachach i warcabach, co z definicji stanowi istotę sportowych zmagani bokserów i lekkoatletów, w których z kolei trudno doszukać się zasad gry w sensie intelektualnej łamigłówki, nieczytelnej dla profana, wymagającej uprzedniego nabycia dość rozbudowanych kompetencji. Obserwator świetnie wie, o co chodzi i wynik konfrontacji jest czytelny dla wszystkich. Gry sportowe, oparte na fizycznej sprawności i kontakcie – piłka nożna, rugby czy koszykówka – przyciągają tłumy właśnie dlatego, że zawierają ów niezbędny dla nich element *agon*, gry, spektaklu, widowiska, których reguły są skodyfikowane i uniwersalne. W ich naturze leży walka równych sobie na mocy szczegółowych reguł, ale taka, która nie prowadzi do rozlewu krwi i minimalizująca możliwość poważnego uszkodzenia ciała. Tylko gry sportowe, powiadają dalej nasi uczeni, mają wpisany we własną logikę ów element ekscytacji, powodujący, że stają się sportami najbardziej ekspansywnymi i o globalnym charakterze, zarówno z punktu widzenia widzów, jak i osób je uprawiających.

Co więcej, sport w tym rozumieniu jest tą sferą życia społecznego, bodaj czy nie ostatnią, gdzie społeczeństwa cywilizowane (w sensie procesu cywilizacyjnego Eliasa, o którym dalej), w których dyscyplinuje się zbiorowe emocje i kanalizuje indywidualną agresję, mogą pokazać swoje skrywane oblicze pod postacią rywalizacji, ekscytować się walką mimetycznie odtwarzającą wcześniejsze historycznie sytuacje konfliktu między- i wewnątrzgrupowego. Jak ironicznie ujęli to Dunning i Elias – w mało ekscytującym społeczeństwie nowoczesnym sport jest sferą uwalniania emocji i porywa masy – to w sporcie wolno ujawnić to wszystko, co na co dzień skrywa się pod cywilizacyjną powłoką reguł i norm porządku społecznego – to enklawa, w której „dozwolone jest i wysoce cenione kontrolowane odchodzenie od ograniczeń nakładanych na emocje”⁸. Tylko te dyscypliny, które na szeroką skalę zapewniają podobne wentylowanie i ukierunkowywanie pasji połączonej z rekreacją, mają tendencję do podboju wszystkich części świata, stając się elementem globalnej świadomości, jak wykorzystywać czas wolny efektywnie, zbiorowo i „tożsamościowo”.

Kilkadziesiąt lat, jakie minęło od czasów rozważanych przez francuskiego badacza i niemiecko-angielskich ekspertów, całkowicie przewróciło logikę podobnych rozumowań. Sport jest dzisiaj przemysłem, a sportowcy to ludzie pracy, nie tacy jednak, jakich miał na myśli Caillois. Pracują w obecności globalnej publiczności w ciągle doskonalących się dekoracjach profesjonalnych aren sportowych, które stają się symbolami miast, regionów i krajów. W pełni wypada zgodzić się z diagnozą zawartą w pasjonującej pracy *Gaming the World*,

• • • • •

⁶ R. Caillois, *Gry i ludzie*, przeł. A. Tatarkiewicz i M. Żurowska, Oficyna Wydawnicza Volumen: Warszawa 1997, s. 17.

⁷ Ibidem.

⁸ N. Elias, E. Dunning, *Quest for Excitement: Sport and Leisure in the Civilizing Process*, Blackwell: Oxford 1986, s. 96.

że sportowe areny to, obok centrów handlowych i bankowych, najbardziej rzucające się w oczy znaki czasów kapitalizmu postindustrialnego i procesów tzw. drugiej globalizacji⁹.

Sport, na dobre i na złe, stał się jednym z głównych wyznaczników cywilizacyjnego postępu i miarą rozwoju neoliberalnie pojmowanego społeczeństwa konsumpcyjnego. Jest to niezwykle interesujące nawiązanie do starej debaty na temat różnicy między kulturą i cywilizacją i współczesną reinterpretacją idei procesu cywilizacyjnego, odwołującą się do oryginalnej myśli Norberta Eliasa.

Rozróżnienie terminów kultura i cywilizacja pierwszy wprowadził Samuel von Pufendorf w pracy *De iure naturae et gentium libri octo* z roku 1672, rozumiejąc tę drugą jako miarę stopnia ogłady polegającej na przyjęciu i stosowaniu coraz bardziej wyrafinowanych form współżycia między ludźmi. Do tego rozumienia cywilizacji nawiąże do wieków Norbert Elias w swojej słynnej koncepcji procesu cywilizacyjnego. Jego myśleniem o świecie społecznym kierowało pięć, wzajemnie powiązanych zasad¹⁰. Pierwsza z nich zakłada, że wprawdzie społeczeństwa składają się z intencjonalnie działających jednostek, ale to, co wynika z tych działań najczęściej prowadzi do nieplanowanych efektów. Zadaniem socjologii jest tedy wyjaśnienie transformacji działania intencjonalnego w niezamierzone wzory życia społecznego. Po drugie, aby zrozumieć jednostki ludzkie, należy je traktować jako wzajemnie współzależne, jako części siatek relacji (figuracje). Jednostka nie tyle posiada autonomiczną tożsamość, co jest od samego początku, ze swej psychicznej i społecznej istoty, częścią uspołecznionego „my” – żyjąc z innymi i wśród innych rozwija społeczny habitus, zwany także jej „drugą naturą”. Tym samym badanie procesu rozwoju społecznego (socjogenezy) wiąże się ze studiami nad psychogenezą zjawisk, nad tym, jak wyglądają procesy rozwoju psychologicznego i jego transformacje. Po trzecie, życie społeczne ma charakter procesualny a nie statyczny, zawiera się w relacjach, a nie stanach rzeczy. Po czwarte, rozumienie ludzkich społeczeństw wymaga założenia o długoterminowych procesach rozwoju i zmiany, a więc winno mieć postać socjologii historycznej, nie zaś synchronicznych badań jakichś niepodlegających zmianom stanów i warunków. Po piąte wreszcie, poznanie naukowe nieustannie cyrkuluje między społeczno-emocjonalnym zaangażowaniem w to, co podlega badaniu, a dystansowaniem się od przedmiotu eksploracji. Prawdziwie zaangażowany badacz jest zatem jednocześnie burzycielem potocznie przyjmowanych sądów, codziennych mitologii, założeń ideologicznych czy przesądów (które nie omijają także samej nauki) i twórcą autonomicznych sądów, które poddaje weryfikacji.

Najpełniej, najszerzej i w sposób najbardziej złożony powyższe zasady zrealizował Elias w *O procesie cywilizacji*¹¹.

Mirosława Marody tak oto formułuje główną tezę tego dzieła:

Rozwój i wzrost samokontroli, której nieodłączną częścią jest psychologizacja i racjonalizacja ludzkiego myślenia, tak charakterystyczna dla procesów poznawczych współczesnych jednostek, dokonał się w efekcie długotrwałego procesu, w którym najistotniejszą rolę odegrały relatywnie autonomiczne, lecz ściśle ze sobą powiązane przemiany struktur ekonomicznych i struktur władzy, prowadzące stopniowo do nasilenia współzależności jednostek wchodzących w skład tego podstawowego układu przetrwania, jakim od średniowiecza stało się państwo¹².

• • • • •

⁹ Zob. A.S. Markovits, L. Rensman, *Gaming the World: How Sports are Reshaping Global Politics and Culture*, Princeton University Press: Princeton 2010.

¹⁰ Zob. R. van Krieken, *Norbert Elias*, Routledge: London and New York 1998; S. Mennel, *Norbert Elias: An Introduction*, Blackwell: Oxford 1992. Por. także: M. Marody, *Między neutralnością a zaangażowaniem. O socjologii Norberta Eliasa*, w: N. Elias, *Spółczesność jednostek*, przeł. J. Stawiński, W.N. PWN: Warszawa 2008; P. Burke, *Historia i teoria społeczna*, W.N. PWN: Warszawa-Kraków 2000.

¹¹ N. Elias, *O procesie cywilizacji*, przeł. T. Zabłudowski i K. Markiewicz, W.A.B.: Warszawa 2011.

¹² M. Marody, *Między neutralnością a zaangażowaniem...*, s. XXIX.

To właśnie spektrum zagadnień nazywa Elias procesem cywilizacyjnym, zajmując się wieloma jego odsłonami w obu tomach książki. Syntetyzując poglądy Maksa Webera, Zygmunta Freuda i Emila Durkheima, nie stroniąc także do wewnętrznych odwołań do Williama Sumnera i Johana Huizingi, o czym się najczęściej zapomina, Elias punktem wyjścia czyni średniowiecze. To jest ów punkt krytyczny w historii Europy, jako że obrazuje obniżanie się progu tolerancji wobec pewnych zachowań uznawanych za wstydlive czy powodujące zakłopotanie. Obszerne opisy średniowiecznych zachowań szlachty przy stole, wycierającej nosy rękawem, defekującej publicznie i plującej na podłogę pojawiają się w pierwszym tomie tej książki jako dowód na to, że w traktatach na temat dobrych manier z XV i XVI wieku tego rodzaju zachowanie zaczyna być potępiane. Stanowi to ilustrację socjogenezy zachodniej cywilizacji, w ramach której dokonuje się internalizacja zachowań i ich unormowanie. W jednym z wywiadów Elias, zapytany o to, czy tym, co odróżnia człowieka, który nożem zabija przy stole współbiesiadnika, od kogoś, kto wzdraga się kroić tym narzędziem sałatę, nie jest proces cywilizacyjny, odpowiada:

To jest uproszczenie, ale jest prawdą, że te dwa sposoby postępowania się nożem przy stole obrazują dwa momenty długiego historycznego rozwoju, które w zasadniczy sposób zmieniły społeczeństwa Zachodu. Stały się one „cywilizowane”, a proces ten trwał ponad pięćset lat i polegał na narzucaniu na afekty różnorodnych ograniczeń¹³.

Cywilizacja dla Eliasa istnieje, a raczej należałoby powiedzieć – interesuje go – jedynie w liczbie pojedynczej, w odniesieniu do tej szczególnej formacji społeczno-ekonomicznej, jaką jest Europa. Cywilizacja potocznie rozumiana, od czasów greckich do dzisiaj, to zawsze przeciwieństwo barbarzyństwa, miara pozwalająca odróżnić „nas” od „innych”. Mimo iż dziewiętnastowieczni antropolodzy i archeolodzy starali się używać tych pojęć opisowo, opozycja między nimi pozostaje wyraźnie nacechowana aksjologicznie. Wystarczy poczytać, co pisze się o tzw. nowych emigrantach w Europie dzisiejszej... Sam Elias, powołując się na piękne deklaracje Kanta o tym, że „jesteśmy oświeceni przez sztukę i naukę i aż do przesytu ucywilizowani pod względem wszelakiej układności towarzyskiej i obyczajności”, stawiał sobie za cel pokazanie, że napisać tak w XVIII wieku można było wyłącznie uwzględniając przemiany, jakie dokonały się od czasów średniowiecza. Ale – jak słusznie zauważa Jack Goody, zarówno Kant, jak i Elias, pisząc „my”, nie mają na myśli ludzi w ogóle, ale ich konkretną kategorię – mieszkańców Europy. Tutaj dokonał się proces modernizacji świadomości, zwany w *O procesie cywilizacji* „postępem Zachodu”. Elias zatem, rzecz można, „uhistorycznia” pojęcie cywilizacji (a zarazem kultury), wiążąc je ze szczególnym kontekstem społecznym, tym samym nadając własnej koncepcji walor analityczny.

Swoiste dzisiejsze nawiązanie do podobnego myślenia znajdziemy w dziedzinie globalnego przemysłu sportu. Oto wyraźnie stawia się tezę, że poprawa materialnej bazy uprawiania różnych dziedzin sportowych (przede wszystkim tych, które globalnie są rozpoznawane i mają najbardziej masową widownię), umożliwienie widzom w maksymalnie komfortowych warunkach doświadczania wrażeń i bycia *together apart*, przyczynia się do „poprawy obyczajów”. Cywilizowanie i okiełznanie emocji lokalnych, narodowych i kontynentalnych może się dokonać dzięki cywilizacyjnemu postępowi w dziedzinie architektury stadionów, estetyki przestrzeni i takiego zorganizowania sportowego wydarzenia (święta), by przypominało ono konsumpcyjny *event*, którego sens naczelny sprowadza się wpraw-

• • • • •

¹³ S. Fontaine, *The Civilizing Process Revisited. Interview with Norbert Elias*, „Theory and Society”, nr 5: 1978, s. 243.

dzie do kibicowania i rywalizacji w ramach *agon* Rogera Caillois, ale który jest jednocześnie cywilizowany i regulowany prawnie, umieszczany w kontekście społecznej potrzeby uczestnictwa zapewniającego komfort i bezpieczeństwo. Temu celowi służą wszelakie klasyfikacje obiektów, wymogi stawiane nowo powstającym stadionom i arenom – od lig narodowych poczynając, a na olimpiadach, mistrzostwach świata i Europy kończąc.

Postindustrialna globalizacja sportu wiąże się, co oczywiste, ze zmianami w ekonomii światowego kapitalizmu, który od roku 1973 (kryzys naftowy, schyłek państwa opiekuńczego w Europie) podążał konsekwentnie w kierunku neoliberalnej koncepcji gospodarki rynkowej opartej nie na produkcji materialnej, ale rozwoju sfery usług. Niebywała transformacja, jaka dokonała się w sferze technologii spowodowała narodziny globalnych mediów, których ważną częścią stał się kapitał kulturowy zawarty w sporcie. W kontekście „zejścia ze sceny” klasy robotniczej i pojawienia się nowej kategorii konsumentów, zważywszy także na bezprecedensową mobilność ludzi w ramach globalnej migracji, która zróżnicowała układ społeczeństw poprzemysłowych, możemy powiedzieć, że sport staje się globalną praktyką kulturową i nowym kapitałem społecznym. Wykorzystywany jest przede wszystkim przez hegemoniczne kultury sportowe, wśród których prym wiodzie piłka nożna. Ma ona współcześnie dwa wzajemnie się warunkujące oblicza – lokalne i kosmopolityczne.

Odwołując się do klasycznej książki Roberta Putnama, zauważmy, że ów podwójny kontekst futbolu wiąże się w dwoma rodzajami kapitału społecznego, jaki jest „inwestowany” w tę dyscyplinę, i który powoduje, że druga globalizacja futbolu (pierwsza to lata 1860-1914) dokonuje się na naszych oczach. Putnam pisze:

Spśród wszystkich wymiarów, wedle których różnicują się formy kapitału społecznego, być może najważniejsze jest rozróżnienie na łączące (*bridging*), czyli inkluzywne, i spajające (*bonding*), czyli ekskluzywne. Pewne formy kapitału społecznego są z przypadku lub z konieczności skierowane do wewnątrz i wykazują tendencję do wzmacniania wykluczających się tożsamości i homogenicznych grup [...] Inne sieci są skierowane na zewnątrz i obejmują ludzi z różnych odłamów społecznych (*social cleavage*)¹⁴.

Hegemoniczna kultura sportu, jaką piłka nożna dzisiaj jest z pewnością, może być zdefiniowana jako nie tyle gra jako taka, ile to wszystko, co wiąże się jej oglądaniem, komentowaniem, „życiem futbolem”, byciem fanem i stronnikiem, ze zbiorowym smutkiem i ekstazą, chuligaństwem i spokojnym oglądaniem meczów w strefach kibica etc. FIFA podaje, że ponad 270 milionów mężczyzn i kobiet w świecie gra w piłkę, a między rokiem 2000 i 2007 wzrost populacji graczy wyniósł 10%. Ale to tylko jedna strona piłkarskiego fenomenu. Miliardy innych nigdy nawet nie kopnęło futbolówki albo robiło to w zamierzchłej przeszłości, a jednak także są graczami, tyle że uczestniczą w hegemonicznej kulturze piłkarskiej. Robią to, jak wspomniałem, dwojako, korzystając z kapitału łączącego i spajającego.

Ten drugi, ekskluzywny, spaja nasze węższe „ja”, wiążąc się z tożsamością lokalną, ukochanymi klubami, dzielnicami miast, aglomeracjami czy regionami etnicznymi. W tym aspekcie futbol jest istotnie niekiedy ważniejszy niż życie i śmierć, zgodnie ze słynnym stwierdzeniem Billa Shankly’ego. Tradycja, mit, tożsamość zbiorowa i socjalizacja do życia z drużyną to te „zamrożone” przestrzenie sportu, które są zakorzenione lokalnie, regionalnie i narodowo. Nie dziwny się więc, że tworzą one nawet mocniejsze uczuciowe identyfikacje niż te związane z partiami i ideologiami politycznymi. Są to te przestrzenie, które

¹⁴ R. Putnam, *Samotna gra w kręgle. Upadek i odrodzenie wspólnot lokalnych w Stanach Zjednoczonych*, przeł. P. Sadura i S. Szymański, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne: Warszawa 2008, s. 40.

stawiają opór dzisiejszemu globalnemu przemysłowi sportowemu, są ciągle pełne lokalnych zwrotów językowych, więzi, narracji, barw klubowych, zapachów, legend i opowieści założycielskich; tam kultuwuje się opozycje „my” – „obcy”, tam chodzi się do barów i pubów, w których wypełnia się sens piłki opartej na skierowanym do wewnątrz kapitale spajającym. Kibic lokalny nigdy nie będzie ekumeniczny, by rzec skrótowo. Fani lokalni są jak superklej, niepozwalający oderwać się ani od drużyny, ani od braci i siostr w piłkarskiej wierze. Jeśli jeszcze, jak obecnie w Katalonii, klub piłkarski FC Barcelona jest symbolem dążeń niepodległościowych, sytuacja wielce się komplikuje, o czym za chwilę.

Jednocześnie wszakże postindustrialna globalizacja wystawia te zamrożone przestrzenie lokalności na zasadnicze zagrożenia. Rzuca im wyzwanie na wielu poziomach, z których najważniejszym jest chyba tendencja do kosmopolityzacji futbolu. Rodząca się kosmopolityczna świadomość, spowodowana przez drugą globalizację sportu, powstanie globalnych aren i cyfrowej rewolucji przekazu medialnego kompresującego czas i przestrzeń, dotarła także na lokalne podwórka klubowe pod postacią piłkarzy-kosmopolitów! Okazuje się, że powoduje to swoiste „odmrażanie” lokalności; ludzie związani z piłką po prostu kochają dobrych piłkarzy, zwłaszcza jeśli wykazują lojalność dla klubowych barw. Nie liczy się wówczas – warunkowo wszelako – ich pochodzenie, kolor skóry czy wyznaczenie religijne. Nowe pokolenia międzynarodowych imigrantów piłkarskich krążą po świecie i zatrudniają się jak on daleki i szeroki na krótszy lub dłuższy czas w zawsze lokalnych, z geograficznego punktu widzenia, przedsiębiorstwach piłkarskich. Pasjonująco na ten temat pisze Anthony King w książce *The European Ritual*¹⁵. Wszyscy ci, którzy przywykli do kapitału spajającego, ekskluzywnego, uczą się teraz, co to znaczy myśleć w kategoriach kapitału łączącego, inkluzywnego, po to, aby ukochana drużyna mogła liczyć się w globalnej grze sportowej.

Dzisiejsi kibice robią dwie rzeczy jednocześnie: spajają się w pewnych sferach tożsamości, a łączą w innych. Nigdzie nie widać tego lepiej, jak w przypadku kibicowania narodowym reprezentacjom. Kwestia ta stanowi fascynujący temat pełen brawurowych przypadków. Ot, jednym z jego wymiarów niechaj będzie holenderski „futbol totalny”, wymyślony (przez belgijskiego, skądinąd, trenera, Rinusa Michelsa) w latach 70. XX wieku i wówczas świętujący największe triumfy, a dziś traktowany jako jeden z znaków rozpoznawczych Kraju Tulipanów, niezależnie już od tego, czy futbolowym wymiarom tożsamości przypiszemy znaczenia „obywatelskie” bądź „etniczne” – stanowiące kombinację „nostalgii, okazjonalnej wspólnotowości i demonstrowanego na zewnątrz nacjonalizmu”¹⁶.

W czasach, które można by nazwać – parafrazując uwagi Stephena Greenblatta – wiekiem przemieszczeń, coraz częściej jesteśmy jednak świadkami osobliwych krzyżówek i powikłań tożsamościowych. Weźmy przypadek Guusa Hiddinka, znakomitego trenera holenderskiego, który podczas mistrzostwa świata w 2002 roku doprowadził drużynę Korei Południowej do czwartego miejsca – odebranego jako historyczny sukces koreańskiej i ogólniej: azjatyckiej piłki. I oto Holender stał się z dnia na dzień bohaterem – „Przywódcą Kraju” i „Ojcem Narodu” (przywołujemy tu tylko dwa z szerokiego wachlarza koreańskich określeń) – dla rozchwieanego społeczeństwa poszukującego symbolicznych spoiw i punktów podparcia. Badacze analizujący fenomen postaci Hiddinka w Korei nazywają go z kolei „glokalnym bohaterem”, który sam jest „bezprecedensowym studium przypadku

• • • • •

¹⁵ A. King, *The European Ritual: Football in the New Europe*, Ashgate: Aldershot 2005.

¹⁶ Zob. F.J. Lechner, *Imagined Communities in the Global Game: Soccer and the Development of Dutch National Identity*, „Global Networks” 7, 2, 2007.

pokazującym relacje zachodzące pomiędzy procesami globalizacji, nacjonalizmem i tendencjami obywatelskimi w społeczeństwie”¹⁷.

Bywa i tak, że praktyki kibicowskie sytuują się w pasie granicznym pomiędzy tym, co inkluzywne oraz obszarem ekskluzywności. Posłużmy się więc wciąż żywo brzmiącym przykładem z mistrzostw Europy w Polsce i na Ukrainie. Mecz między Hiszpanią i Irlandią zbliża się do końca, a „La Furia Roja” zrobiła co do niej należało. Irlandczycy przegrywają smutnie i wówczas do meczu wkracza „dwunasty zawodnik” – kibice Irlandii intonują *The Fields of Athenry*.

Można zapytać: co ma wspólnego prosta folkowa piosenka, odwołująca się do XIX-wiecznej historii Zielonej Wyspy i zarazy ziemniaczanej, która wywołała wówczas klęskę głodu, z nowoczesnym futbolem? Otóż ma. Po pierwsze – wystarczy przejechać się przez Irlandię i obejrzeć miejsca pamięci poświęcone An Gorta Mór, by zrozumieć, w jakim wymiarze przeszłość wciąż określa współczesną irlandzką tożsamość. Po wtóre – wspomniane w pieśni Botany Bay – miejsce cumowania statków ze skazańcami zsyłanymi do Australii (nie zapominajmy też o opresji ze strony Korony) – przywodzi wyobrażenie Irlandczyka-tułacza, któremu poświęcono przepastną biblioteczkę, z antropologicznymi tekstami włącznie. Po trzecie jednak – i tu wracamy wprost do futbolu – *The Fields of Athenry* to pieśń o narodowej niezłomności, a waleczność piłkarzy, niezależna od wyniku spotkania, jest jej symbolizacją i poświadczeniem. Piłka to główny impuls, aby być popnacionalistą.

Nie będzie pewnie wielką przesadą stwierdzenie, że podobnie jak wszyscy jesteśmy dzisiaj „pop”, tak samo bywamy (jesteśmy?) wszyscy nacjonalistami, a właściwie popnacionalistami. Do takiego poglądu skłaniają się dzisiaj nawet filozofowie. I tak Anthony Birch pisze, że „Ludzie nie są konserwatywnymi nacjonalistami albo liberalnymi nacjonalistami; oni są nacjonalistami, którym zdarza się być zarówno konserwatystami, jak i liberałami”¹⁸. Julia Kristeva z kolei, będąc zdeklarowaną zwolenniczką kosmopolityzmu i zażartym wrogiem nacjonalizmu we wszelkich jego przejawach historycznych, nie waha się napisać, iż mimo to świetnie rozumie, jak trudno jest budować własną tożsamość w terminach abstrakcyjnych metafor, zwłaszcza w czasach niepewności ponowoczesnej kondycji człowieka. Nie dziwi ją więc, że ludzie sięgają do, regresywnego jej zdaniem, wspólnego mianownika, jakim są narodowe korzenie i odziedziczona po przodkach wiara. Formuła dająca pewność, że w obliczu kryzysu wartości, fragmentacji życia i krążącego nad światem widma globalizacji życie jednostki nie jest kwestią przypadku i bezustannego ryzyka, brzmi: „Nie wiem kim jestem, a nawet, czy w ogóle jestem, ale mam narodowe i religijne korzenie, dlatego ich poszukuję”¹⁹. Co więcej – mam narodowy sport, a przede wszystkim najbardziej popularną jego dziedzinę – piłkę nożną!

Angielskie słowo *popular* oznacza „popularny”, ale także: ludowy, potoczny, lubiany, cieszący się popularnością i wzięciem. Termin „popnacionalizm” odwołuje się do owego źródłostowu w dwojaki sposób. Pierwszy z nich obejmuje sferę przekonań i działań jednostek, wynikających z kulturowego bagażu ich doświadczeń. Doświadczenia te są głęboko zakorzenione w pojęciu kultury narodowej, w systemie edukacji preferującej swojskość nad obcość. Popnacionalizm w tym rozumieniu to tyle, co dawanie na co dzień, w życiu potocznym, w ludowej wyobraźni wyrazu przywiązania do wspomnianych wcześniej znaków i symboli narodowych, odwoływanie się do nich w różnych sferach i momentach ży-

• • • • •

¹⁷ N. Lee, S. Jackson, K. Lee, *South Korea's „Glocal” Hero: the Guus Hiddink Syndrome and the Rearticulation of National Citizenship and Identity*, „Sociology of Sport Journal”, t. 24, nr 3, September 2007, s. 284.

¹⁸ A. Birch, *Nationalism and National Integration*, Routledge: London 1989, s. 7.

¹⁹ J. Kristeva, *Nations Without Nationalism*, Columbia University Press: New York 1993, s. 2.

cia. Jakby nie patrzyć, „oflagowywanie” naszego życia, o którym pisze Michael Billig, ma przede wszystkim narodowe barwy, ale nie ogranicza się do symboli i znaków, obejmując także język codzienny, dyskusje o logice świata, no i rywalizację sportową.

Stąd głównym dzisiaj terytorium batalii o narodowe symbole i wartości jest, rzecz jasna, sport, w tym piłka nożna; mogą się nim wszakże stać narodowe zwyczaje kulinarne, przywdziewane stroje itd. Zaiste, wiele się dzieje w dziedzinie „nacionalizacji” świadomości współczesnych społeczeństw, aż bierze chęć, aby powtórzyć: „im więcej globalizacji, tym więcej nacionalizacji tożsamości zbiorowych”. Ale i to nie wszystko.

Drugie znaczenie terminu popnacionalizm, o jakim wspominałem wcześniej, niesie w sobie konotacje związane w kulturą popularną (popkulturą), rozumianą jako szerokie spektrum praktyk dyskursywnych obecnych we wszystkich właściwie jej dziedzinach. I w tym wypadku mówienie o renesansie nacionalizmu nie będzie z pewnością przesadą. Postawy pop-nacionalistyczne także w tej sferze mają dwojaką postać – są albo na serio (ale najczęściej bez wyrażania agresji i ksenofobii), albo – jak w wypadku folkloru politycznego w Sieci – są ironiczne, prześmiewcze, niekiedy nihilistyczne, zawsze jednak zawierające owe narodowo-patriotyczne treści jako treści decydujące o sensie przekazu.

Znamienne, jak szybko media wszelakiej maści dostrzegły pojawienie się i ekspansję tych wszystkich zjawisk, o których skrótowo sygnalizowałem powyżej. Wystarczy posłuchać, popatrzeć, poczytać, aby szybko przekonać się o pojawieniu się popnacionalistycznego stylu obrazowania i pisania. Zapotrzebowanie na taki typ retoryki jest tak wielkie, że historyczny popnacionalizm na dobre zagościł jako schemat pisania o świecie. Weźmy nie tak dawny jeszcze przykład, a więc artykuł z działu sportowego „Super Expressu”, noszący znamieny tytuł „Ogniem i mieczem na Szachtara”. Jego autor rozpoczyna od cytatu z powieści Sienkiewicza („Rok 1647 był to dziwny rok...”), aby analogię ówczesnej wojny polsko-ukraińskiej przenieść na dzień 10 sierpnia 2006 (pierwszy mecz Legii z Szachtarem Donieck o prawo gry w Lidze Mistrzów). Pisze więc:

Wprawdzie ciężko być optymistą, bo tak jak cztery wieki temu Rzeczpospolita pogrążona była w kryzysie i chaosie, tak teraz forma Legii wydaje się dramatycznie słaba, ale... Wtedy nadludzki wysiłek, poświęcenie i heroiczna walka Jana Skrzetuskiego, Michała Wołodyjowskiego, Longinusa Podbiپیęty i innych rycerzy pozwoliły pokonać wroga. Może więc i teraz po „bohaterskiej obronie Zbaraża” (mecz w Doniecku) i „zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem” (rewanż w Warszawie) Legia będzie triumfować.

W rolę Skrzetuskiego ma się wcielić Piotr Włodarczyk, któremu wymarzoną Helenę (Ligę Mistrzów) będzie się starał skraść gwałtowny Bohun (Mariusz Lewandowski, Polak – zdrajca grający dla Ukraińców). I tak dalej, w tym duchu ciągnie autor artykułu, dając przykład, co to znaczy pisać dla odbiorców niby z przymrużeniem oka, z pełną jednak świadomością stereotypów, uprzedzeń i mitologizacji, motywujących do popierania „naszych”. Media na dobre przyjęły tę poetykę, a dodatkowym wzmocnieniem dla tego trendu była z pewnością katastrofa samolotowa pod Smoleńskiem. To zaś, co dzieje się w wielkim megaarchiwum, jakim jest Internet, stanowi zupełnie nową jakość. Wystarczy przypomnieć przykład najświeższy, jaka była kompromitacja z zalanym deszczem Stadionem Narodowym przed meczem z Anglią. E-folklor, który natychmiast powstał jako reakcja i pronarodowy komentarz do blamażu, wymagałby odrębnego opracowania!

Wróćmy jednak do głównego wątku. Zauważmy więc, że sens zawodów piłkarskich spełnia się tylko w obecności widzów, nie ma większej kary dla klubu niż zakaz wstępu publiczności na mecz i konieczność gry „przy pustych trybunach”. Między zawodnikami i rozszalałym z emocji tłumem obserwatorów wywiązuje się zawsze swoista więź, którą

można porównać do zasad myślenia totemicznego. „Nasza” drużyna – zarówno klubowa, jak i narodowa – staje się emblematem-totemem, któremu winni jesteśmy wierność absolutną i pełne oddanie. Przed laty liczyli się zwłaszcza piłkarze, którzy wywodzili się z danego klubu, byli mu wierni i całą karierę przeżyli w jednym miejscu. Dawne to już czasy. Dzisiaj wiemy, że wprawdzie obowiązuje zasada równych szans w sporcie, ale wielce jest ona podejrzana. Równa jest co najwyżej liczba zawodników, ale już nie ich jakość i poziom. Kilkanaście czołowych klubów europejskich rozdaje karty na piłkarskim rynku, kupuje zawodników najlepszych, bez oglądania się na ich obywatelstwo. Stąd w meczach Arsenalu, Liverpoolu, Chelsea, Realu czy Barcelony Anglicy, Hiszpanie i Katalończycy stanowią mniejszość. Ale to nie przeszkadza w oddawaniu hołdu klubowi-totemowi, jako że stanowi on odrębną, mityczną jakość. W czasie meczu zawieszaniu ulegają wszelkie obowiązujące na co dzień podziały klasowe, wiekowe, płciowe i ekonomiczne, liczą się tylko „nasi” i my – równi na trybunach. Po meczu wszystko wraca w swoje rutynowe koleiny, znów różnimy się od innych, część widzów, wielbiących swoje czarnoskóre gwiazdy, daje upust rasizmowi na ulicy i nie podałyby ręki „asfaltowi”... Mecz to także sytuacja karnawałowa, święto plemienne odbywające się cyklicznie i zawsze w takich samych dekoracjach. A jednak każdy mecz jest inny, bo rywale się różnią. Część przyjezdnych drużyn jest ledwie kolejnym przeciwnikiem, inna prawdziwym wrogiem, jeszcze inna – wrogiem śmiertelnym. Inaczej boli zatem porażka, inaczej smakuje sukces. Ta zasada obowiązuje także w zmaganiach międzynarodowych, gdzie porażka staje się hańbą albo ledwie „wyпадkiem przy pracy”, w zależności z kim grają „nasi” i o jaką stawkę. Narodowa reprezentacja to nasz totem, na dobre i na złe.

W tym miejscu wracamy do naszego paradoksu: otóż futbol to z jednej strony rozrywka uniwersalna. Czytelna na każdym kontynencie. Powszechna tak dalece, że FIFA – Światowa Federacja Piłki Nożnej – skupia dziś więcej państw członkowskich niż ONZ. Z drugiej strony – mecz piłkarski (zwłaszcza międzypaństwowy), jak mało który rytuał codzienny integruje zbiorowość, wokół zdarzenia, które na półtorej godziny, nadaje sens temu, co „polskie”, „niemieckie” czy „holenderskie”. Od hymnu, poprzez ekspozycję barw, odgłos bojowo dudniącego bębna wprowadzamy się w stan, gdy jasne jest, kim jesteśmy „my”, a kim są „tamci”. W meczu piłkarskim wyraża się bowiem podstawowa tęsknota za światem uporządkowanym, takim, gdzie jesteśmy właśnie „my” i gdzie nieuchronnie i zawsze są „oni”. Gdzie „swój” staje naprzeciw „obcego”. Ta tęsknota – dodajmy – opisywana po wielokroć przez antropologów kultury wydaje się szczególnie ważna w naszych globalnych i płynnych czasach, w których zmianę, nie zaś trwałość, przyjmuje się za normę.

Areny piłkarskie mają ustaloną od dawna formę, co nie jest przypadkiem, podobnie jak to, że trybuny piłkarskie mają kształt owalu, kumulują energię do środka i są – jak nazywał to amerykański klasyk antropologii, Edward T. Hall – dospoleczne, czyli sprzyjają intensyfikacji kontaktów między ludźmi. Nie przypadkiem też trybuny te tworzą jeden organizm, gdy unoszą się w rytmie „meksykańskiej fali” (która przyjęła się na całym świecie od mundialu w Meksyku w 1986 r.) albo eksponują olbrzymich rozmiarów barwy narodowe lub klubowe. Podstawowym bowiem typem doświadczenia piłkarskiego jest „bycie razem”. Sama specyfika futbolu jako gry, polega przecież na nawiązywaniu kontaktu. Podawana piłka jest środkiem komunikacji, ostatecznym celem gry są też przecież nie indywidualne popisy, lecz zwycięstwo drużyny. Inaczej mówiąc: celem jest osiągnięcie takiej formy porozumienia, która okaże się skuteczniejsza od gry wrażego zespołu. Wroga „dobija” się strzelając bramkę, wówczas jest on ugodzony w samo serce (bramka to świąty-

nia przecież!). Tak czy inaczej bohater meczu jest wszakże zawsze zbiorowy. Jesteśmy nim „my” – społeczność, która za pomocą wydarzenia sportowego opowiada o samej sobie. Piłka wciąż jest rytuałem obdarzonym epicką narracją, choć epickości i poezji na samym boisku jakby dziś mniej. Mistrzostwa Europy są zatem zawsze nie tylko świętem sportu, ale nade wszystko plebiscytem narodowej dumy (albo znakiem klęski), swoistym przeglądem stanu posiadania w dziedzinie samoidentyfikacji narodów, których reprezentantów znajdziemy na boisku i trybunach. Oni są nami, my – jesteśmy nimi. Piłka na czas wielkich międzynarodowych wydarzeń jest łańcuchem narodowej syntagmy; „polskość” może się zawrzeć w jednym ledwie sukcesie, który będzie NASZYM sukcesem i „naszym dziedzictwem” poniesionym w przyszłość.

Nikt nie chce przegrywać w to, w co gra (i co ogląda) cały świat, bywa więc, że emocje piłkarskie wywołują zgoła nieoczekiwane skutki z kryzysami na arenie międzynarodowej włącznie. Z historii pamiętamy prawdziwy konflikt zbrojny wywołany meczem Hondurasu z Salwadorem (opisany m.in. przez Ryszarda Kapuścińskiego w *Wojnie futbolowej*). Ale relacja między piłką i wojną jest bardziej złożona. Futbol służy na przykład wyrównywaniu rachunków. Nie przypadkiem do historii przeszedł mecz Argentyny z Anglią podczas MŚ w 1986 roku. Był to mecz, podczas którego Diego Maradona strzelił – w powszechnej opinii – najpiękniejszą bramkę w dziejach finału, wykonując slalom przez pół boiska między bezradnymi synami Albionu. Był to mecz, gdy ten sam Diego zdobył też bramkę po ewidentnym zagraniu ręką. Dla samego Maradony i jego rodaków był to gol skierowany do bramki w istocie przez „rękę Boga”. Bowiem – w ostatecznym rozrachunku – pozwolił Argentynie na dziejowy rewanż za klęskę w wojnie o Falklandy i skuteczny egzorcyzm imperialistycznego ducha tatcherizmu. Nie trzeba dodawać, że Anglicy patrzyli na Maradonę jak na zwykłego oszusta i nie zapomnieli mu nieprzepisowo zdobytej bramki przez lata.

Współcześnie sama piłka wytwarza osobliwe konflikty etniczne. Można zrozumieć niechęć Anglików i Włochów (wciąż pamięta się o tragedii na belgijskim stadionie Heysel, gdy podczas meczu między Liverpoolem i Juventusem zginęło kilkudziesięciu kibiców włoskich), trudno już jednak zrozumieć „świętą wojnę” niecierpiących się od dziesięcioleci kiboli Niemiec i Holandii. My także mieliśmy swoje rachunki do uregulowania z Rosjanami. 7 października 2012 roku zaś, w czasie kolejnych *gran derbi* między Barceloną i Realem, stadion Camp Nou zamienił się w jedną wielką flagę Katalonii – kibice zamaniestowali wolę odzyskania niepodległości, a kiedy nadeszła 17 minuta i 14 sekunda meczu (odczytywane jako data 1714, moment utraty przez Katalonię niepodległości na rzecz Hiszpanii po utracie Barcelony, nikt właściwie nie oglądał zmagania Ronaldo z Messim, ale skandował przez kilka minut wraz z wszystkimi innymi „Niepodległość, niepodległość!!!”, po czym rozległa się pieśń-hymn *Els Segadors*. Przyglądający się temu szczegółowo Rafał Stec napisał:

Dzieje FC Barcelona były przede wszystkim opowieścią o udźęcie. Cierpiał cały naród, cierpieli kibice i piłkarze, niesprawiedliwie traktowani w rywalizacji ze wspieranym przez frankistowski reżim Realem Madryt (w demokracji jedynym premierem, zwolennikiem drużyny z Camp Nou był José Luis Zapatero) [w czasach dyktatury – W.J. B.] stadion był jedynym miejscem, gdzie Katalończykom zdarzało się poczuć wolnymi lub wręcz zwycięskimi. Przemycali na trybuny flagi, skandowali antymadryckie hasła, pokonywali Real. Barcelona stała się „Més que un club”, czyli więcej niż klubem. Po śmierci Franco pierwszy wybrany w wolnych wyborach prezydent Katalonii krzychał na stadionie do 100 tys. ludzi: Nasz klub jest wielki, bo zawsze był wierny Katalonii. Niech żyje Barca! Niech żyje Katalonia!²⁰

• • • • •
²⁰ R. Stec, *FC Niepodległa*, „Gazeta Wyborcza”, 13-14.10.2012, s. 27.

Czyż trzeba lepszego przykładu na to wszystko, co dotąd napisałem?

Tim Edensor, autor książki *Tożsamość narodowa, kultura popularna i życie codzienne*, pisał, że w piłce nożnej kibice i dziennikarze potrafią z łatwością rozpoznać narodową drużynę Francji, Niemiec, Włoch, Brazylii, Anglii i Kamerunu. Te realizacje „tradycyjnego” stylu narodowego muszą spełnić pewne oczekiwania czy nawet żądania, często niezależnie od sukcesów na boisku, a nawet stać się wyrazem konkretnych cech narodowych, wykraczających daleko poza stadion. Innymi słowy: z jednej strony żelazna kondycja i organizacja gry Niemców, z drugiej – lekkość, brylantowa technika, improwizacja, „gra na małej przestrzeni” Hiszpanów na boisku. A Polacy? No właśnie, po EURO 2012 znów przyszło zaśpiewać „Nic się nie stało, chłopaki nic się nie stało”, chociaż kredyt popnacyjonalistycznego zaufania do „naszych” uległ znacznej erozji. No, ale zaczęły się eliminacje do kolejnych mistrzostw świata i czekają nas mecze z Anglią. Znów wszystko wróci do równowagi, a klapa na europejskiej arenie pójdzie w zapomnienie... W sporcie, zwłaszcza piłce nożnej, wszyscy jesteśmy globalnymi wieśniakami. I już jest po 1:1 w meczu z Wyspiarzami, kredyt zaufania odzyskany, są nowi idole, opowieść toczy się dalej...

Nie zapominajmy jednak o jednym jeszcze, wspomnianym wcześniej, aktorze na scenie, która zwie się „przestrzenią patriotyzmu” albo popnacyjonizmu – dzisiejszej kulturze popularnej. Zwykle lekceważy się ten aspekt zagadnienia. Niestłusznie. Tutaj, jak w soczewce, dostrzec można procesy, jakim podlegają również patriotyczne identyfikacje. Nazwałbym je ich komodyfikacją. Jak zwykle modelowym przykładem są Stany Zjednoczone. Eksplozja patriotycznych uczuć Amerykanów w obliczu wydarzeń 11 września 2001 roku, fenomen domagający się zresztą o wiele uważniejszej uwagi ze strony europejskiej humanistyki, znalazł natychmiast wyraz w sposób dla nas jeszcze trudny do wyobrażenia. Już w następnych tygodniach masowo pojawiły się popularne figurki *rescue heroes*, przedstawiające nowojorskich strażaków walczących z żywiołem, sprzedaż flag i innych symboli osiągnęła niebotyczne rozmiary, telewizja wypełniła się opowieściami i mitami o powstaniu Narodu Amerykańskiego itp. Jeśli zważymy, że głównym spoiwem kultury amerykańskiej jest kultura popularna, do której każdy z imigrantów mniej lub bardziej ochoczo, ale jednak się akulturuje, łatwiej zrozumieć ów – z naszej perspektywy – kaniibalizm kultury popularnej, pożerającej święty teren zarezerwowany w państwach narodowych dla patriotycznej kultury wyższej. Ta kwestia jest zresztą o wiele bardziej złożona, jako że – jak pisze Michael Parenti w książce *Superpatriotism* – uczenie przywiązania do państwa i narodu jest czymś, do czego Amerykanie przywykli w sposób niekiedy trudny do wyobrażenia przez Europejczyków. Książka pełna jest przykładów owego tytułowego superpatriotyzmu amerykańskiego, ściśle wiążącego politykę, sport, religię i kulturę codzienną mieszkańców Ameryki. Wszystkie transmisje sportowe pokazujące atleto-ów amerykańskich w międzynarodowej rywalizacji (i właściwie tylko ich, pomija się bowiem inne wydarzenia, w których Amerykanie albo nie biorą udziału, albo po prostu się nie liczą) przepełnione są odwołaniami do mitologii narodowej i haseł mówiących, że: *America always gets its way! America is the greatest! Don't mess with America!* Wbrew oficjalnej idei olimpijskiej, promującej międzynarodową dobrą wolę sportu i kosmopolityczne uznanie dla wszystkich sportowców, to wielkie święto zamienia się w poszczególnych krajach w festiwal popnacyjonizmu. Amerykanie za najważniejsze co osiągnęli w Londynie uważają jedno – że znów byli pierwsi, że wyprzedzili w klasyfikacji medalowej Chińczyków, którzy „pobili” ich w Pekinie. Jak zauważa Parenti, dla amerykańskich prezydentów i zwykłych obywateli liczy się tylko hasło USA! USA!, często wiązane dodatkowo z superpatriotyzmem militarnym i religijną pewnością, że każdy sportowiec z tego niebywałego kraju

reprezentuje Dobro, bo to „my” jesteśmy Dobrem dla świata²¹. Niekiedy aż trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie buduje się popnacionalistyczne identyfikacje „poprzez” sport jako ideologię rzekomej wolności.

Jak trafnie zauważył Charles Taylor:

Dla niektórych ludzi ich tożsamość określana jest częściowo przez jakiś rodzaj moralnych bądź duchowych więzi, właściwych na przykład katolikowi lub anarchiście. Dla innych może być ona określona przez naród lub tradycję, do której należą jako Ormianie lub, powiedzmy, Québécois. Nie chcą przez to powiedzieć jedynie, że czują się mocno związani z jakimiś duchowymi poglądami czy pochodzeniem; chodzi tu raczej o to, że zjawiska te dostarczają ram, wewnątrz których ludzie ci decydują o swoim stanowisku w kwestii tego, co jest dobre, wartościowe, godne podziwu, ważne. Ujmując to w trybie warunkowym, ludzie ci mówią, że gdyby utracili ową przynależność czy tożsamość, znaleźliby się niejako na otwartym morzu; w odniesieniu do całego zespołu istotnych pytań nie potrafiliby już określić, co jest dla nich ważne²².

Oparciem dla podobnych dylematów jest także codzienność popkultury i to, co Michael Billig nazywa banalnym nacjonalizmem. Pod tym terminem kryje się teza, że sprawy narodowościowe utrzymują się blisko powierzchni codziennego życia. Billig pisze, że:

„Narodowa tożsamość” to swego rodzaju skrótkowe określenie całej serii dobrze rozpoznawalnych założeń na temat kwestii narodowościowej, świata oraz „naszego” miejsca w świecie. Oklapła, zwisająca skądś flaga oraz wytłoczony orzeł nie wystarczą, aby utrzymać wszystkie te założenia na swoim miejscu, tak aby stanowiły nawyk myślowy. Te założenia muszą być flagowane na sposób dyskursywny. A do tego potrzebne są banały, które będą brzęczeć uparcie w uszach obywateli lub przesuwać się stale przed ich oczami²³.

Dzisiejsza przestrzeń publiczna, media wszystkich gatunków i wiele nurtów popkulturowej twórczości pełne są takich właśnie dyskursywnych i wizualnych banałów, gadżetów i postaw, których celem jest nieuświadomiany codzienny plebiscyt, że jednak „my to my”, a „oni to oni”. Komerjalizacja i globalizacja sportu niczego tutaj nie zmieniły, a może wręcz przeciwnie – jedynie wzmożyły procesy narodowej samoidentyfikacji banalnej. Ma pełną rację Krzysztof Jaskułowski, który w taki oto sposób ten fenomen komentuje:

Symbole narodowe ewokowane są po to, aby dostarczać ulotnych i łatwych wrażeń. Ich szerokie wykorzystywanie w medialnym dyskursie pokazuje, że poczucie narodowe jest rozpowszechnione, a osiągnięcia własnego narodu wciąż budzą dumę wśród wielu ludzi. Jednak takie „popularne” manifestowanie narodowych uczuć nie wymaga większego przygotowania, namysłu, wysiłku czy poświęcenia. Różnice narodowe przybierają raczej postać estetycznego ornamentu, źródła przyjemnych i indywidualnych doznań, a nie zbiorowego obowiązku czy gotowości do rezygnacji z prywatnych celów. Wystarczy zatem wywiesić flagę na balkonie, założyć koszulkę reprezentacji, zasiąść w biało-czerwonych kaptach przed telewizorem i chłonąć wrażenia²⁴.

Oczywiście jest tak, że ten obraz sprywatyzowanego popnacionalizmu i banalnego flagowania rzeczywistości nie wypełnia całego spektrum postaw wobec narodu, historii, a także sportu. Niewątpliwie jednak stanowi bazę, a niekiedy także zaplecze do nieustannego trwania etnonacjonalistycznych sentymentów na planecie zwanej „Sport”.

• • • • •

²¹ N. Parenti, *Superpatriotism*, City Lights Book: San Francisco 2004, s. 43-52.

²² Ch. Taylor, *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, przeł. M. Gruszczyński, O. Latek, A. Lipszyc, A. Michalak, A. Rostkowska, M. Rychter, L. Sommer, WN PWN: Warszawa 2001, s. 53.

²³ M. Billig, *Banalny nacjonalizm*, przeł. M. Sekerdej, Znak: Kraków 2008, s. 175.

²⁴ K. Jaskułowski, *Wspólnota polityczna. W stronę antropologii nacjonalizmu*, WN Katedra: Gdańsk 2012, s. 221.

GLOBAL ECUMENE OF POP NATIONALISM

Summary

The aim of the article is to examine the contemporary phenomenon of pop nationalism, understood as a special form of ethno-nationalist emotions and attitudes which are clearly visible in the realm of sports competition. The author points to paradoxes hiding behind the globalization, professionalization and market orientation of this domain. The so-called hegemonic disciplines of sports (such as football, hockey, basket ball) are now – despite the cosmopolitan orientation of sports competition – the main source of national identification, seen as unique “wars of nations in a time of peace.” The more global sport is made, the more national identity is emphasized as an indispensable component of the logic of such a competition. In the essay, the author aims to reconstruct ways of creating a similar global ecumene of pop nationalism, as well as to analyze various specific situations and symbolic forms in which people create their own national identities, for example those that accompanied the 2012 UEFA European Football Championship (commonly referred to as Euro 2012), hosted for the first time by Poland and Ukraine.

Key words: global ecumene, pop nationalism, national identity, sports, Euro 2012